

9
numer

notatki Z ZIELONEJ KLATKI

gazetka ZSP we Wrocławiu





Kolejny rok szkolny zmierza ku końcowi. Tyle się działo, że nie sposób podsumować wszystkiego. Mamy jednak nadzieję, że ten numer *Notatek z Zielonej Klatki* przeczytacie „od deski do deski” i pomoże Wam miło wspominać czas spędzony w szkole.

Życzymy Wam cudownych i niezapomnianych wakacji! Czekamy na Waszą energię i pomysły po wakacjach :)

Redakcja Notatek z Zielonej Klatki



SPIS TREŚCI:

Praca miesiąca 3, Newsroom 4, Wywiad6, Fashion Blog 12,
Jak nie sztuka to co? 16, Co się działo w Plastyku22, Portret klasowy..... 32,
Portfolio 34, Szuflada38, Japanese Corner 44, Warto..... 45,
Radosna Tfurczość..... 46, Masterchef 50, Stopka 52

PRACA MIESIĄCA



Marta Hyjek, kl. 2L

NEWSROOM

Studniówka już dawno za nami. Zobaczcie, jak na „zaklętym balu” bawili się nasi tegoroczni maturzyści oraz nauczyciele! [TUTAJ](#) I [TUTAJ](#).

Wystawa „naszych” prac w Teatrze Polskim dobiegła już końca. Warto jednak obejrzeć zdjęcia z wernisażu, który odbył się 15 stycznia. [TUTAJ](#)

Jak minęły warsztaty feryjne? Fotorelację można obejrzeć [TUTAJ](#)

Jeśli ktoś jeszcze nie miał okazji obejrzeć filmu z Halloween, może go obejrzeć [TUTAJ](#)

Klasa 6a i 4L stworzyły fajne prace na warsztatach rzeźbiarskich na ASP. Zachęcamy do obejrzenia zdjęć. [TUTAJ](#) i [TUTAJ](#).

Zachęcamy do oglądania prac Pani prof. Natalii Okoń-Rudnickiej. [TUTAJ](#).

12 lutego odbyło się w szkole wspiane przedstawienie kukielkowe dla dzieci przygotowane przez klasę 3a pod kierunkiem wychowawczynie Pani prof. Urszuli Skrzypeckiej. Zachęcamy do obejrzenia zdjęć z przedstawienia. [TUTAJ](#)

Gratulujemy wszystkim uczniom, którzy się zakwalifikowali, zostali wyróżnieni i nagrodzeni w konkursie „Pamiętajcie o ogrodach”. Zdjęcia z odbioru nagród: [TUTAJ](#)

Jak minął przegląd klas 5a i 3L? Zobaczcie sami: [TUTAJ](#)

Polecamy świetną stronę z ilustracjami do książek/bajek: [TUTAJ](#)

W marcu 3L wybrała się na wystawę rysunków Beksińskiego w Leśnicy. [TUTAJ](#)
O tegorocznym Dniu Wiosny możecie przeczytać tutaj: [TUTAJ](#) i [TUTAJ](#)

Tego samego dnia mieliśmy okazję obejrzeć częściowe zaćmienie słońca. Zdjęcia przez kamerę obscure wykonały Julia Ruda i Anna Gubernat z klasy 5a. [TUTAJ](#)

26 marca silna ekipa reprezentowała naszą szkołę podczas Targów Szkół w Gimnazjum nr 27. [TUTAJ](#)

2 kwietnia odwiedził nas nasz absolwent Piotr Skiba, który opowiadał o Akademii Sztuki w Szczecinie. Warto zajrzeć na jego stronę: [TUTAJ](#)

Newsy zebrała dla Was Katarzyna Świnder



WYWIAD

Papierowe hobby

WYWIAD Z PANEM PROFESOREM JANEM TACZYŃSKIM

Jeden z najbardziej lubianych nauczycieli w szkole, z głową pełną pomysłów i najlepszymi prezentacjami multimedialnymi, które bawią i jednocześnie uczą na lekcjach geografii. Jak przystaje na każdą uczęszczającą do szkoły plastycznej osobę, Pan Taczyński ma talent i niezwykłą pasję, która utrzymuje się w nim od kilkunastu lat ... O jakim wspaniałym hobby mowa, dowiedziecie się, czytając wywiad z naszym nauczycielem geografii. Serdecznie zapraszamy.

Czy geografią zainteresował się Pan w szkole średniej?

Nie, zdecydowanie wcześniej. Nigdy nie miałem szczęścia do nauczycieli z geografii. Miałem 7 albo 8 nauczycieli. Najlepszy z nich był Pan „Miecio”, tak na niego mówiliśmy, ponieważ nikt nie znał jego nazwiska. Przyszedł do nas na 2 tygodnie i potem zniknął, bo dostał lepszą posadę. Był geologiem. I była jeszcze Pani Monika, która dzwoniła na nas dzwoneczkiem. Zniknęła ze szkoły po miesiącu, bo nie dała rady.

A gdzie chodził Pan do szkoły?

Do Szkoły Podstawowej nr 45 na Sępólnie. Byłem przedostatnim rocznikiem, którego ominęła nauka w gimnazjum.

Oprócz nauki w naszej szkole, pracuje Pan także w Gimnazjum nr 29. Jak łączy Pan naukę tu i tam? Czy jest ciężko przemieszczać się ze szkoły do szkoły?

Jest ciężko, na szczęście obie szkoły są blisko siebie. W zeszłym roku miałem taki plan lekcji, że musiałem w 20 minut dotrzeć z jednej szkoły do drugiej, ale się udawało.

Przemieszczał się Pan wtedy rowerem, środ-

kiem komunikacji czy na piechotę?

Jeździłem rowerem, ale czasami szedłem na piechotę. Zajmowało mi to 10 minut. Ułatwieniem w pracy w obu placówkach, jest to, że w Plastyku zajęcia odbywają się w późniejszych godzinach lekcyjnych.

Jak długo uczy Pan w tamtej szkole?

Od 2007 roku.

Pamięta Pan wszystkich swoich uczniów?

Nie, nie wszystkich. Jak się uczy geografii, to ma się strasznie dużo podopiecznych, ponieważ taki jest wymiar godzin. Żeby mieć etat, trzeba mieć kilkanaście klas. Aktualnie uczę 22 klasy, czyli około 650 uczniów. Pamięta się twarze, nazwiska, imiona, ale największym wyzwaniem jest połączenie w jedno wszystkich tych informacji. Mam w pamięci taką scenkę: idę na przystanek tramwajowy i stoi tam uczeń. Podchodzi do mnie i mówi: „Dzień dobry”, a ja na to odpowiadam: „Dzień dobry, Mateuszu”. Był wyraźnie ucieszony i zdziwiony i odpowiedział: „to Pan pamięta, jak ja się nazywam?” Uczyłem go tylko przez rok, ale on dobrze się uczył i był charakterystycznym, dlatego zapadł mi w pamięci. Nie wszyscy mają tyle szczęścia i pozostają bardziej anonimowi.

Czy Wrocław to Pana miasto rodzinne?

Tak.

Czy interesuje się Pan sztuką?

Chciałem wczoraj zapunktować przed Panią Traczyńską. Skończyłem lekcję i do sali 15 uczniowie wnosili obrazy na wystawę i była tam akurat nasza szkolna kopia „Pomarańczarki” Gierzyńskiego. Obraz ten został skradziony po powstaniu warszawskim i całkiem niedawno wrócił do Polski. Po chwili weszła Pani Traczyńska i chciałem zażartować: „Agnieszka, po co było tyle szukać tego obrazu...” i na szczę-



ście nie dokończyłem, a ona tak patrzy na mnie i mówi: „No wiesz... Gierymski zrobił to dużo lepiej”. Ja naprawdę nie widziałem różnicy, więc chyba się nie znam na sztuce.

Ma Pan dobry kontakt z Panią Taczyńską?

Kiedyś było gorzej, ale teraz mamy bardzo dobry kontakt.

Jaki jest Pana ulubiony sposób spędzania czasu?

A to jest jakieś życie poza pracą? W ciepłe dni lubię spędzać czas w ogrodzie, w którym mogę się odstresować. A jak przychodzi zima, to można pokleić coś np. domki z papieru. Latem natomiast lubię wyjeżdżać.

A co z tymi papierowymi domkami? Na czym dokładnie polega to zajęcie? Kiedy zaczął się Pan tym zajmować?

Kiedyś dostałem w spadku po kuzynie kolejkę elektryczną. To była taka fajna rzecz i w prezencie na święta, czy urodziny dostawałem nowe elementy. Zawsze miałem marzenie, żeby zrobić z tego makietę, po to, aby nie trzeba było tego ściągać. To była największa tragedia dzieciństwa - złożyć wszystkie elementy z podłogi, żeby na przykład poodkurzać. W wakacje 1998 roku dostałem dużą dyktę, w piwnicy znalazły się drewniane koziółki do dziadku i się zaczęło.

Jaki jest najstarszy element makiety?

Najstarszym elementem jest kościół gotycki z dzwonczkiem w środku. Po paru latach zaczął się rozklejać i dłużej trwała jego renowacja niż budowa.

A gdzie znajduje się kolejka?

Kolejka jest wokół domków, a na środku jest miasto. Wszystko jest pokolorowane. Ale kolejka dalej nie jeździ, bo nie znam się na elektryce.

Wszystkie elementy stawiał Pan spontanicznie czy wszystko było przemyślane?

Na początku było spontanicznie, później trzeba było przesuwac elementy i z czasem było coraz mniejsze pole manewru. Jest to jednak najlepsza praca, gdy zostaje mi do wypełnienia pole o bardzo małej powierzchni.

Dalej Pan kończy makietę?

Tak, ciągle coś dorabiam. Ostatnio pracowałem nad tak zwanym górnym miastem, czyli dzielnicą położoną na podeście. Pod spodem są tory kolejowe, ukryte w tunelu a na górze stoją domy. Wykorzystałem makietę paryskich kamienic. Dostałem je kiedyś od znajomych. Kilka elementów dorobiłem sam.

Wyjeżdża Pan co wakacje? Preferuje Pan Polskę czy wyjazdy za granicę?

Kiedyś wyjeżdżałem w Polskę, teraz bardziej w świat. Byłem na Węgrzech i ostatnio w Chor-

wacji. Już teraz rozumiem, dlaczego tam są plenery. Zawsze myślałem, że uczniowie mogą pojechać w Sudety, ale w Chorwacji po prostu jest piękniej. Warto dodać, że zawsze kiedy jest to możliwe podróżuję pociągiem. Zliczam nawet przejechane kilometry i zaznaczam na mapie ciekawe trasy. Natomiast jednym z moich ulubionych kierunków podróży są Kresy Wschodnie. Często odwiedzam Lwów i zapalam znicze zebrane wcześniej wraz z uczniami z mojego gimnazjum na polskich grobach.

Słyszałyśmy, że Pana mama też pracowała w tej szkole. Pamięta Pan coś z tamtych lat?

To było tak, że jak Pani Taczyńska (nauczycielka historii) zaczynała pracę, to Pani Taczyńska (mama) kończyła pracę w bibliotece. Czasami ją odwiedzałem. Pamiętam, jak któregoś dnia do biblioteki wpadł uczeń i zapytał, czy jest Pani Taczyńska. Moja mama przytomnie zapytała: „która?”. Biedny nie wiedział, co odpowiedzieć,



więc po chwili namysłu odpowiedział: „młoda”. Na to Pani Taczyńska (mama) odpowiedziała: „to znaczy, że jestem stara?”. Zmieszany uczeń wyszedł i nic już więcej nie powiedział.

Czy osoby z tamtych lat różnią się od naszych współczesnych uczniów?

Tu przede wszystkim chodzili starsi ludzie. Nie było gimnazjum. Były dwie klasy na każdym poziomie tego 5- letniego liceum. Ludzie żyli z tym miejscem i to był ich świat. Tak samo jak teraz jest z naszymi uczniami chodzącymi do 6-letniej OSSP. Oni też są tutaj od zawsze.

Pan nie chciał uczyć się tutaj w liceum?

Nie, wolałem iść do szkoły blisko domu. To było moje odwieczne kryterium. Podstawówka była 10 minut od domu, a liceum 5. Na studia, przez pierwsze trzy lata musiałem już jeździć tramwajem do miasta i to było straszne. W mojej dzielnicy jest uniwersytecki Instytut Meteorologii i pomyślałem sobie, że tam pójdę studia magisterskie, bo będzie blisko.

Czyli ukończył Pan studia meteorologiczne?

Tak jest. Na moim dyplomie widnieje dumnie tytuł geograf fizyczny. Rozpocząłem kiedyś jeszcze studia na kierunku gospodarki przestrzennej, ale tam byli dziwni nauczyciele akademicy. Traktowali wszystkich jak pierwszoczniaków a dla większości był to drugi lub trzeci kierunek. Dodatkowo ukradli mi tam rower i nigdy więcej się tam nie pojawiłem.

Gdyby nie został Pan nauczycielem, to kim chciałby Pan być?

Kiedyś nauczycielka nauczania początkowego - Pani Koc kazała nam odegrać scenkę, kim chcielibyśmy zostać w przyszłości. Ja pokazałem, że chciałbym zostać policjantem, ale nie dlatego, że chciałem nim być, tylko dlatego, że nie potrafiłem niczego innego pokazać. Potem założyłem, że jeśli nie dostanę się na studia, to zostanę tramwajarzem.

Zawsze może Pan spełnić swoje marzenie po ukończeniu pracy w szkole.

Tak, jak już będę starym życiem 65-latką i dalej będę musiał biegać do szkoły, bo przesuną wiek emerytalny na 80 lat, to wtedy zostanę tramwajarzem. Sam nie wiem co gorsze.

Czy ma Pan naturalnie kręcone włosy?

Tak, ja mam włosy po mamie, a Pani Taczyńska po ojcu.

Dziękujemy serdecznie za rozmowę.)

*Wywiad przeprowadziły
Aleksandra Kaczmarek oraz Dominika Drąg*



FASHION BLOG

O MODZIE, STYLU YO-LANDI I NINJY I GAŁKACH OCZNYCH ROZMAWIMY Z JAGODĄ CZARNOWSKĄ Z KLASY 5A.

.....

Skąd czerpiesz inspiracje?

Zewsząd, z internetu, z gazet, ale przede wszystkim po prostu z ulic. Czasami przypadkowi ludzie mają świetne pomysły i styl, którego nie znajdzie się w żadnej gazecie ani na forum i są dzięki temu bardziej prawdziwi. W sieci widzimy miliardy zdjęć wymuskanych i wystylizowanych modelek i modeli, w których ubiorze nawet najmniejszy szczegół jest w stu procentach dopracowany. Są przez to po prostu sztuczni. Przedstawia nam się ich bez żadnych wad i niedopatrzeń. A ludzie w brudnych butach, dziurawych rajstopach, rozciągniętych swetrach są prawdziwi w tym, jak wyglądają. W przekrzywionej czapce, rozwalonej fryzurze wyróżniają się z tłumu, bo przedstawiają siebie. I te właśnie kawałki ludzkich osobowości dają mi do myślenia i inspirują, nie tylko jeżeli chodzi o moje własne stylizacje, ale tak w ogóle.

Swoje ubrania szyjesz sama czy przerabiasz te kupione?

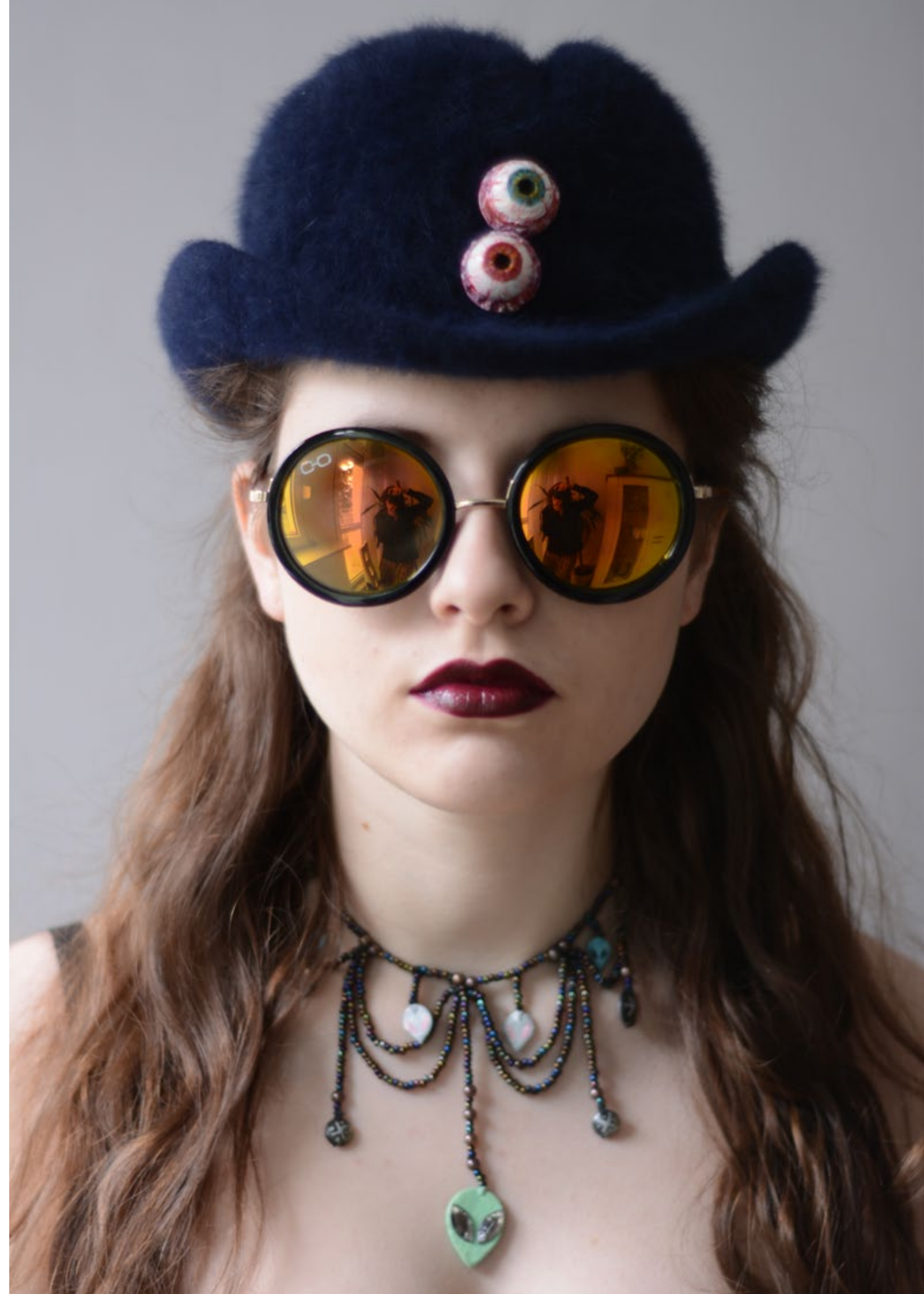
Zazwyczaj przerabiam te, które kupiłam. Domalowuję lub przemalowuję coś albo po prostu, gdy uznam, że jakiś ciuch mi się znudził, jest stary i nie będę go żałować, ucinam rękawy albo guziki, które mi się nie podobają. Na razie nie szyję ubrań. Rzeczy kupuję najczęściej w lumpeksach. To są sklepy, na które zawsze mnie stać i można znaleźć w nich coś oryginalnego w przeciwieństwie do wielkich galerii. W sieciówkach niby każde ubranie jest inne, ale jednak wiele rzeczy jest tam powtarzalnych. Wszystkie kolekcje są podobne i mam wrażenie, że ciągle wpadają mi w ręce te same ubrania. Jeżeli chodzi o biżuterię i różne drobne dodatki, to potrafię zrobić je sama. Bez wątplenia jest to dużo prostsze niż uszycie spodni czy bluzki.

Gdybyś mogła w trzech zdaniach opisać swój styl, co byś powiedziała?

Mój styl to pomieszanie z poplątaniem. Z jednej strony jest inspiracja Japonią i uwielbianymi przeze mnie bajkami ze studia Ghibli, z drugiej kosmici, UFO, potem gałki oczne jak z horroru, a w końcu zamiłowanie do filmów Tima Burtona, takich jak „Miasteczko Halloween”, „Gnijąca Panna Młoda”, „Edward Nożycoręki” i ulubiony zespół „Die Antwoord”. Po prostu ubieram się w to, co nawiązuje do rzeczy, które lubię. Wiem na pewno, że mój styl nie jest monotematyczny i konsekwentny, ale słowa takie jak ekscentryczny i oryginalny pasowałyby do niego.

Który kraj, Twoim zdaniem, powinien zostać stolicą mody?

Nie byłam w zbyt wielu krajach, by stwierdzić, że jakiegokolwiek miejsce powinno zostać uznane za stolicę mody, ale korzystając z internetu mam szansę pooglądać, jak wyglądają ludzie w różnych miejscach na świecie. Mogę stwierdzić, że najbardziej podobają się mieszkańcy Tokyo. Są niesamowici. Po pierwsze podoba mi się mentalność Japończyków. Jakkolwiek wyglądają tam ludzie, zasługują na szacunek. Takiego podejścia brakuje w Polsce, gdzie często można się spotkać z krzywymi spojrzeniami albo mało pochlebnymi komentarzami dotyczącymi stroju. W związku z tym, że Japończycy są szanowani bez względu na to, jak wyglądają, pozwalają sobie w swoim ubiorze na naprawdę wiele. Moim zdaniem to wspaniale, bo w ten sposób wyrażają siebie i dobrze się z tym czują. Określiłabym Tokyo jako stolicę mody nie dlatego, że wszystkie stylizacje mi się podobają. Wręcz przeciwnie. Część jest tak dziwna, że nie wiem, co o tym myśleć, a część mi się po prostu nie podoba. Imponuje mi tamtejsza lekkość w wyrażaniu siebie.



Jaki kolor jest wiodący w Twoich stylizacjach?

Nie mam jednego, określonego i ulubionego koloru. W mojej szafie są chyba ubrania we wszystkich możliwych barwach. Mogę powiedzieć, że zdecydowanie wolę ciepłe i zgaszone kolory takie jak granaty, ciemne fiolety czy bordo. Właściwie to noszę wszystko.

Który z dodatków jest Twoim ulubionym?

Moimi ulubionymi dodatkami są przypinki, wyglądające jak wyrwane gałki oczne. Zrobiłam je sama z modeliny i pomalowałam. Noszę je często na środku moherowego, granatowego kapelusza albo na kołnierzu płaszcza. Często noszę też kolia z błyszczących, małych, ciemnych koralików z głowami kosmitów, którą też zrobiłam sama oraz bransoletkę z koralików z motywem z japońskiej baśni „Spirited Away”, którą zrobiła dla mnie przyjaciółka. Najbardziej cenię dodatki, które nie zostały wyprodukowane przy pomocy maszyny, tylko ktoś sam się musiał namęczyć, żeby powstały.

Jaki jest Twój ulubiony motyw, który pojawia się na co dzień w Twoich stylizacjach?

Podobają mi się filmy o obcych takie jak „Bliźnie spotkania trzeciego stopnia”, „Wspólnota”, niedawno powstały „Dark skies” czy „Archiwum X”, dlatego częstym motywem w moich ubiorach są kosmici. Są na mojej bluzce, torbie, naszyjniku. Interesuję się też Japonią, więc w moich ciuchach można się dopatrzyć czasami jakichś japońskich roboszków czy motywów z bajek.

Czy utożsamiasz się z jakąś subkulturą? Czy któraś ma znaczący wpływ na sposób Twojego ubioru?

Nie potrafię przypisać siebie do żadnej subkultury. Oczywiście inspirują mnie one. Podobają mi się ludzie ubrani w stylu grunge, punk, hippie, goth czy reage. Podziwiam tych, którzy jakkolwiek ubrani, chcą się wyróżniać z tłumu. Ja po prostu ubieram się w to, co mi się podoba, w to, w czym się czuję dobrze, w to, w czym czuję się sobą. Nie jestem grunge’owa, nie jestem hipsterem. Jestem sobie po prostu taką Ja-

godą, która wygląda tak a nie inaczej.

Jaki jest Twój ulubiony projektant? A może masz ulubionego artystę, wykonawcę czy jakąś inną znaną osobę, która według Ciebie jest ikoną mody?

Nie mam ulubionego projektanta, bo szczerze mówiąc, średnio się tym interesuję. Wolę patrzeć na ubrania, które sama byłabym w stanie zrobić lub nabyć za jakąś przyzwoitą cenę, niż podziwiać coś, co jest bardziej sztuką niż ubraniem, wartą kosmiczne pieniądze, zaprezentowaną na chudych jak nie dentystyczna modelkach, które zazwyczaj w ogóle nie czują tego, co na sobie prezentują. Podoba mi się styl Yo-Landi i Ninjy z zespołu „Die Antwoord” pochodzącego z Republiki Południowej Afryki. Wydaje mi się, że to jest po prostu warte uwagi. Członkowie zespołu należą do subkultury ZEF, która między innymi kompletnie nie dba o to, co inni ludzie o niej myślą.

Wywiad przeprowadziła Anna Adasiak



JAK NIE *Sztuka* TO CO?

W TYM WYDANIU ZIELONEJ KLATKI CHCEMY ZAPROSIC WAS DO PRZECZYTANIA ROZMOWY Z JEDNĄ Z UCZENNIC NASZEJ SZKOŁY - JOANNĄ CIOSEK. ASIA UCZY SIĘ W KLASIE 3L, MA WIELE ZAINTERESOWAŃ I JEDNĄ NAJWIĘKSZĄ MIŁOŚĆ - INDIE, O KTÓRYCH DOWIECIE SIĘ WIĘCEJ CZYTAJĄC WYWIAD. MAMY NADZIEJĘ, ŻE SPOJRZYSZ NA TEN KRAJ Z NIECO INNEJ PERSPEKTYWY NIŻ DOTYCHCZAS ;)

Niewielu z nas wie, że bardzo pasjonują Cię Indie oraz wszystko, co jest z nimi związane. Skąd wzięło się to zamiłowanie? Od czego się zaczęło?

Myślę, że jak u większości ludzi zainteresowanych tym krajem, wzięło się to od filmu bollywood. Moja najlepsza przyjaciółka namówiła mnie do obejrzenia „Gdyby jutra nie było”. Odmienność kinematografii indyjskiej na tyle mnie urzekła, że obejrzałam kolejny film - „Czasem słońce czasem deszcz”. Moja mama oglądała go parę miesięcy wcześniej, a ja ją wtedy wyśmiałam. Nie podejrzewałam nawet, że kultura indyjska stanie się moją ogromną pasją w przyszłości. Potem potoczyło się już samo - od filmów po zaciekawienie kulturą, historią, językiem, tańcem.

Czy miałaś już okazję być w tym niezwykłym miejscu?

W trzeciej klasie gimnazjum po raz pierwszy byłam w Indiach. Był to niespodziewany prezent od mamy. Wtedy poleciałyśmy ze zorganizowaną wycieczką. Przez tydzień zwiedziłam kilka miejscowości w północnych Indiach i Mumbai. Byłam między innymi w Agrze, gdzie zobaczyłam Fort i słynny Taj Mahal, przepiękną, tradycyjną studnię Chand Baori w wiosce Abhaneri, Jaipur- znany jako Różowe Miasto. Po tej wyprawie myślałam tylko o tym, kiedy

tam z powrotem wrócę. Niedługo potem, przez przypadek (na forum fanów bollywoodu), trafiłam na wzmiankę o fundacji „Dzieci Orientu”. Po zaznajomieniu się z wartościami organizacji, postanowiłam obserwować jej działalność, co zaowocowało tegoroczną wyprawą do Indii. Dlaczego zdecydowałaś się powrócić do Indii? Od początku mojej przygody z Indiami czułam, że moja więź z tym krajem jest na tyle silna, że prędzej czy później i tak tam wrócę. Gdy fundacja „Dzieci Orientu” ogłosiła, że organizują wyprawę edukacyjną z młodzieżą polską do Indii (WEMP), nie zastanawiałam się ani chwili. Napisałam do założycielki fundacji Sylki Rayskiej z zapytaniem o szczegóły wyjazdu. Po raz pierwszy spotkałam się z nią na prelekcji dotyczącej wyjazdu do indyjskich sierocińców. Opowiedziała mi wtedy o głównym celu wyprawy, zajęciach artystycznych z dziećmi, wymianie kulturowej i nawiązaniu nowych znajomości międzykontynentalnych. Po tej rozmowie zdecydowałam się zostać wolontariuszką, pojechać do Indii i kontynuować wolontariat w Polsce.

Czym się zajmowałaś jako wolontariuszka? Co należało do Twoich zadań?

Do moich zadań należało przede wszystkim prowadzenie zajęć artystycznych, tzn. nauka tańca, zajęcia plastyczne, na których między innymi dzieciaki wyklejały polskie jesienne liście oraz realizację projektu „Mój dom” fundacji Anny Walczyk. Oprócz tego spędzałam z dziećmi większość czasu bawiąc się, tańcząc i śmiejąc się razem z nimi.

Jak długo już tańczysz?

Już od najmłodszych lat lubiłam taniec. Zaraziła mnie nim mama, posyłając mnie na lekcje już w przedszkolu i tańcząc ze mną w każdej wolnej chwili. Moja prawdziwa przygoda z tańcem zaczęła się jednak w pierwszej klasie gimnazjum,



kiedy przez przypadek trafiłam na zajęcia tańca brzucha. Lekcje na tyle mnie wciągnęły, że uczęszczałam na nie przez trzy lata. Gdy tylko zamieszkałam we Wrocławiu, od razu zaczęłam naukę tańca bollywood, ponieważ on od zawsze najbardziej mnie fascynował, a wcześniej nie miałam gdzie się go nauczyć. W międzyczasie uczęszczałam na zajęcia z Masala Bhangra. Do teraz kontynuuję naukę tańca bollywood, a w ostatnim czasie zaczęłam chodzić na lekcje z Latino Solo.

Czy trudno było Ci „wbiec” się w tę odmienną od naszej kulturę?

Szczerze mówiąc, nie. W Indiach od razu poczułam się jak w domu. Nie przeszkadzały mi nawet mantry indyjskie śpiewane o 4 nad ranem, ani złe warunki, w jakich przyszło mi mieszkać. W Indiach ludzie są zupełnie inaczej nastawieni do życia niż w Europie. Nigdzie nie pędzą, nie gonią. Ich pozytywna energia udziela się każdemu, więc nie ma mowy o narzekaniu. Dobrym przykładem jest wesele indyjskie, które rzekomo miało się rozpocząć się o 16. Ludzie zaczęli się zbierać o 17, a sam ślub rozpoczął się jeszcze godzinę później. Na tym przykładzie dokładnie widać, że ludzie nie zwracają szczególnej uwagi na czas, dlatego, gdy ktoś z grupy WEMP zadawał zwyczajne pytanie o czas przyjazdu tuk tuk’a*, wszyscy wybuchali śmiechem. W Indiach pojęcie czasu praktycznie nie istnieje, ludzie działają spontanicznie, a taki zwyczaj mi odpowiada.

Czy mogłabyś nam opowiedzieć coś więcej o tym weselu? Jak wygląda? W jakim stopniu różni się od polskiego?

Co ciekawe data wesela została ustalona specjalnie pod nasz przyjazd. Państwu młodym bardzo zależało na naszej obecności, ponieważ było to dla nich pewnego rodzaju wyróżnienie. Biały człowiek w tej części Indii jest niesamowitą rzadkością, a dzięki nam zyskali większy szacunek w społeczeństwie. Jak sami później stwierdzili „upiększyliśmy” ich wesele swoją obecnością. Oczywiście taka uroczystość wygląda zupełnie inaczej niż w Polsce mimo, że był to ślub chrześcijański jedynie z elementami

hinduistycznymi. Tydzień przed uroczystością pannę młodą odwiedzali bliscy. Obsypywali ją ryżem na znak szczęścia i pomyślności na nowej drodze życia. Dzień przed tym ważnym wydarzeniem kobiety z wioski malowały pannie młodej hennę ślubną na dłoniach i stopach. Były to bardzo bogate wzory. Ceremonia i przyjęcie odbywały się na zewnątrz. Był to wynajęty plac, otoczony czymś w rodzaju parawanu z wielką ozdobną bramą, w środku znajdowała się bogato zdobiona scena, na której wszystko się działo, a przed nią tysiące plastikowych krzeseł. My dostaliśmy honorowe miejsce na scenie, tuż przy parze młodej. Był to ślub pastora, który opiekuje się sierocińcem w Dommeru, dlatego też wśród gości znalazło się wielu jego kolegów, którzy dużo opowiadali o Ravim. Niestety nie rozumiałam ani słowa, gdyż mówili w telugu. Po licznych występach mówionych i śpiewanych do muzyki na żywo, nadeszła pora na zawarcie małżeństwa. Po słowach „tak” para młoda założyła sobie nawzajem na szyje girlandy kwiatów. Dziwnym zwyczajem jest to, że panna młoda powinna zachować kamienną twarz, nie okazywać żadnych emocji przez całą uroczystość. Dzieje się tak na znak smutku z powodu opuszczania rodziny. Po ceremonii nadszedł czas na ucztę. Wesele trwało do 23:00, po czym goście się rozeszli. Było to niesamowite przeżycie i nigdy go nie zapomnę.

Jak reagowali na Ciebie ludzie, z którymi miałaś styczność? Jak Cię przyjęli i ugościli?

Ludzie byli naprawdę gościnni i otwarci na naszą kulturę. Wzajemnie obserwowaliśmy nasze zwyczaje i przyzwyczajenia, wynikające z odmiennych narodowości. Byli zachwyceni naszą egzotyczną dla nich urodą, zresztą tak samo jak my ich.

Czy utrzymujesz kontakt z osobami, które tam poznałaś? A może nawiązałaś z kimś trwalszą znajomość albo przyjaźń?

Kontakt utrzymujemy cały czas. Praktycznie codziennie dostaję wiadomości od moich znajomych z Indii. Najbardziej zaprzyjaźniłam się z wolontariuszem, którego poznałam na miejscu. Często rozmawiamy przez Skype. W In-



diach nawiązałam również więź z Polkami, które ze mną pojechały. Wciąż się widzimy. Jak wiadomo w Indiach jest wiele stanów i wiele języków.

A jakim językiem posługiwali się ludzie w stanie, w którym byłaś? I czy może nauczyłaś się jakiś słów?

W Andhra Pradesh mówi się w telugu. Znajomość urzędowego języka hindi lub angielskiego jest znikoma, więc moja umiejętność posługiwania się hindi się nie przydała. Wśród studiującej młodzieży język angielski jest powszechny, także to on służył mi do nawiązywania kontaktów. Podczas pobytu w sierocińcach, dzieciaki zdążyły nauczyć mnie wielu słów w swoim języku.

A może opowiesz nam teraz o przysmakach, które miałaś okazję spróbować?

Uważam, że indyjska kuchnia jest najlepsza na świecie. Z utęsknieniem wyczekiwałam na każdy kolejny pyszny posiłek. Na śniadanie popularnym daniem w południowych Indiach są idli. Jest to rodzaj okrągłych, spłaszczonych bułeczek, sporządzonych z sfermentowanej soczewicy i mąki ryżowej. Podaje się je z różnymi sosami. Na lunch zawsze był ryż, kilka rodzajów sosów z warzywami, soczewicą, rybą lub kurczakiem. Do tego jogurt, świeża cebulka i placki chapati. Między posiłkami zjadałyśmy się soczystymi owocami, samosami (pierożki nadziewane ziemniakami, groszkiem i przyprawami) i bardzo słodkimi słodyczami. Najbardziej z tego wszystkiego smakowała nam masala chai. Prócz tego piłam sok z trzciny cukrowej.

Tvoja ulubiona potrawa to....?

Palak paneer, czyli indyjski ser w sosie szpinakowym.

Jakie są według Ciebie najpiękniejsze miejsca w Indiach?

Jest wiele takich miejsc, ale urzekła mnie przede wszystkim studnia Chand Baori w Rajahstanie, niesamowite krajobrazy Andhra Pradesh, wodospad i ocean.

Czy wiążesz przyszłość z Indiami?

Oczywiście, moim największym marzeniem jest życie w Indiach. Po maturze, we wrześniu planuję tam wrócić, ponownie spędzić czas z dziećmi podczas wolontariatu (tym razem dłuższego), a następnie większą grupą zwiedzić całe Indie i odwiedzić uniwersytety w celu zapoznania się z ich ofertą naukową. Co będzie potem, zobaczymy.

Czy chciałabyś przekazać coś czytelnikom?

Mam nadzieję, że wielu czytelników po przeczytaniu tego wywiadu otworzy się na inną kulturę. Nie bójcie się marzyć! :) A poza tym zachęcam do pomocy innym oraz do zainteresowania się fundacją „Dzieci Orientu”, która naprawdę realizuje niesamowite projekty.

Wywiad przeprowadziła Nikol Górecka

*Tuk tuk - indyjski pojazd, riksza, którym się wszędzie poruszaliśmy.



Się działo w Plastyku...

SPECJALNIE DLA CZYTELNIKÓW NOTATEK Z ZIELONEJ KLATKI KATARZYNA ŚWINDER DOTARŁA DO KRONIK SZKOLNYCH Z DAWNYCH LAT. OTO CO CIEKAWEGO WYCZYTAŁA.

.....

Malarstwo ścienne z roku 1977 zostało wykonane przez klasę Pana prof. Z. Paluszaka. Przetrwało do 1996 roku.



BUDYNEK
SZKOLY



W 1996 r.

SPOSOBÓW TRANSPORTU NAD BAŁTYK BYŁO KILKA:

- PIERWSZY (NAJBARDZIEJ ROZPOWSZECZONY I NAJCZĘSTSZY) SPOSÓB TO PODRÓŻ Z GOSPODARZEM OŚRODKA, PANEM LANGE - „ŻUKIEM NA PACE” - NAJCZĘŚCIEJ Z PODZIATEM NA DWIE TURY
- NASTĘPNY TO AUTOSTOP - ZALEŻNY OD ŻYCZLIWOŚCI OSÓB ZMOTORYZOWANYCH (ŻYCZLIWOŚĆ TAKOWYCH ODWROTNIE PROPORCJONALNA DO LICZEBNOŚCI!)
- KOLEJNY - BARDZIEJ WĘCZĄCY, TO PRZEJAZDZIKA ROWEREM (Z BIEJTRAMEM
- NIE POLECAMY! , PRZY SILNYM WIETRZE, KTÓREGO NA PÓŁNOCY DUŻO - MOŻNA NIECHĄCY ZAMIENIĆ SIĘ W „LATAWIEC”)
- I OSTATNI - TO NAJBARDZIEJ OCZYWISTY I CZASOCHŁONNY... SPACER...

OD MOMENTU GDY ZACZĘLIŚMY PRACĘ DNI WYGLĄDAŁY (I MORZE TUTAJ SIĘ KOMUŚ NARAŻĘ) DOŚĆ PODOBNIĘ. MY MALUJĄCY - PRZY (NA SZCZĘŚCIE!) NIESAMOWICIE SPRZYJAJĄCEJ POGODZIE, A OPIEKUNKI NASZE „PENETRUJĄCE” WYBRZEŻE W POSZUKIWANIU CO RAZ TO ORYGINALNIEJSZYCH TWORÓW MORZA, PIASKU I WIATRU...

I TAK WPATRUJĄC SIĘ W GRAFITOWĄ ODCHŁAN MORZA, CHMURY KĘGBIASTE I MIĘKKIE, SMAGANI WIATREM Z WSZECHOBEŁNYM PIASKIEM ZOSTALIŚMY ZASKOCZENI PRZEZ (OCYWISTY JUŻ OD POZĄTKU) KONIEC.

JESZCZE TYLKO PRZEGŁĄD, OCENA ... I JUŻ PO WSZYSTKIM!



Już za dwa lata będziemy obchodzić siedemdziesięciolecie naszej szkoły. Państwowa Wyższa Szkoła Sztuk Plastycznych we Wrocławiu powstała we wrześniu 1947 roku. Nominację na stanowisko dyrektora otrzymał artysta malarz Stanisław Kopystyński. Przez lata szkoła przechodziła wiele zmian. Zatem jak wyglądała?

W tych latach nie mieliśmy przyjemności oglądać dyplomu zdobiącego szyby głównego wejścia do szkoły.

W 1999 roku klasa IVB pod opieką Pani prof. Józefy Kaweckiej-Gierko oraz Pani prof. Elżbiety Hońdo-Sagan (Pani prof. pełniła wtedy funkcję wicedyrektora szkoły) wyjechała do Odrągowa, które było oddalone od morza o 5 – 6 km. Jakie sposoby transportu wtedy proponowali?

W 2000 roku klasy piąte bawiły się na studniówce „Stare kino”.

A wycieczka? Oczywiście, że do Rzymu!



WIZYTA
W HUCIE
SZKŁA
na wyspie
MURANO

RAVENNA
CUDOWNE
MOZAIKI
w San Vitale



WATYKAN
PAPIEŻA
WIDZIELIŚMY
Z DALEKA
śpiesząc się
do Muzeów
Watykańskich



NASZA WYCIECZKA
PRZED BAZYLIKĄ
LATERAŃSKĄ
- koniec pięciodniowego
zwiedzania
RZYMU



**ADA
KOLIŃSKA**
z VB
na tle
wspaniałej
południowej
roślinności





*Klasy V serdecznie zapraszają
panstwa Matgorzatę i Tadeusza Taczyńskich*

na premierę filmu pt.

"W starym kinie"

*sala kinowa "Aula"
22 stycznia 2000r. godz. 20.00*



PORTRET KLASOWY / 4L



PORTRET KLASOWY / 6a

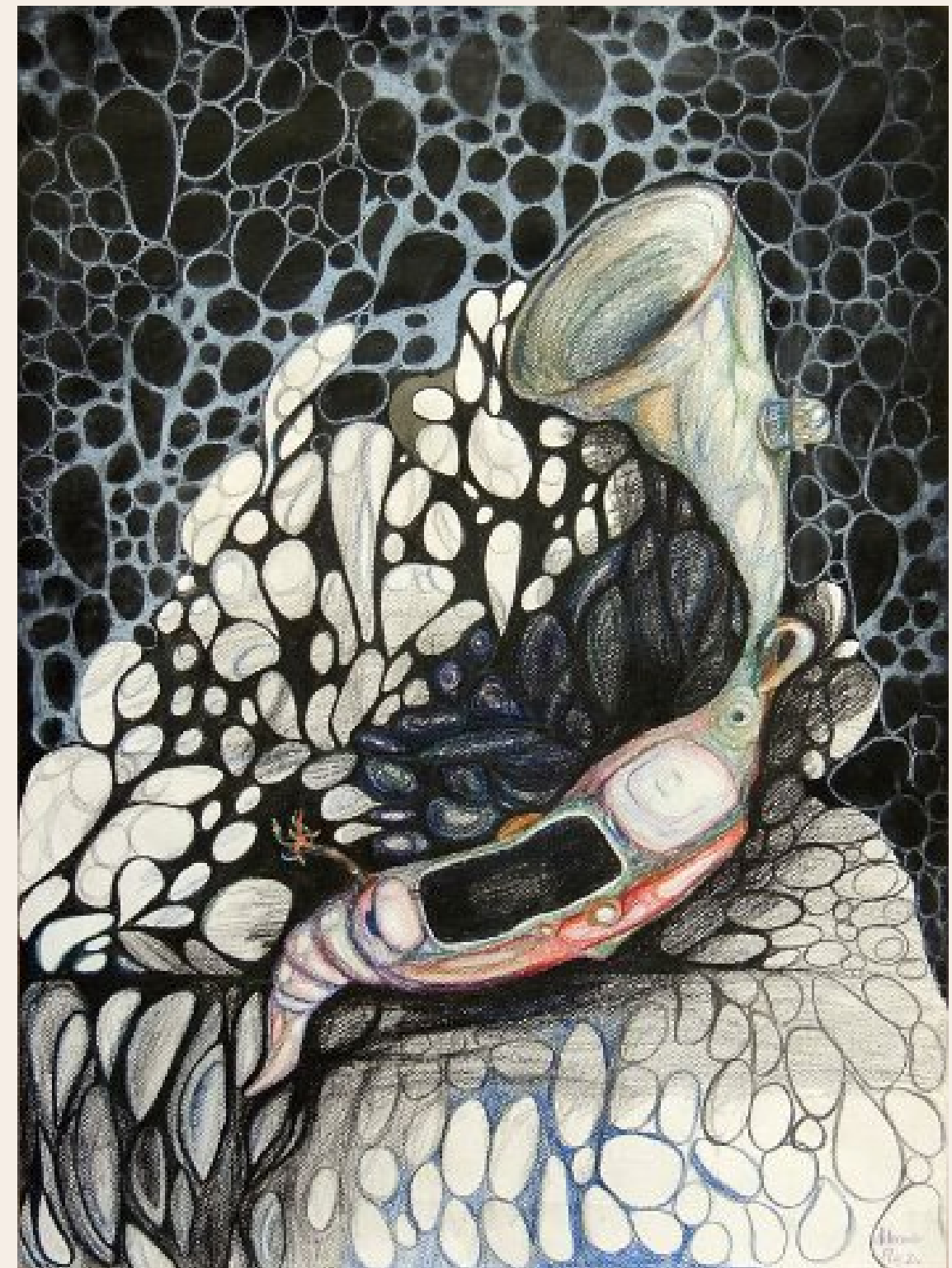


PORTFOLIO



Anna Młynarczyk, kl 3a

PORTFOLIO



Aleksandra Flis, kl 3a

PORTFOLIO



Agnieszka Łazorko, kl 3a

PORTFOLIO



Katarzyna Świnder, kl 3a

SZUFLADA

kącik literacki

KURSOR

Kursor mrugał bezustannie. Systematycznie pojawiał się i znikał, pojawiał się i znikał. Czarna ryska na idealnie białej, cyfrowej kartce. Notorycznie przypominał mi o swojej obecności. Nieprzerwanie, na swój dokuczliwie dyskretny, bezgłośny sposób denerwował mnie, podkreślając pustkę w mojej głowie. Sygnalizował z uporem, że coś muszę napisać, jakoś się wysławić, wyrazić swoją opinię, przelać na papier innowacyjny pomysł, inspirującą myśl. Jednak pozostały mi tylko sny,

częste marzenia o tym, że przed omdleniem z wycieńczenia postawię choćby słowo, ciemną grupkę pikseli pośród morza białych, upchniętych w ramki ekranu. Miałem też zadanie o tyle łatwe, że doskonale wiedziałem, co chcę napisać. Jakkolwiek, zanim to się stanie muszę uporać się z poważnym problemem.

„Jestem krytykiem od zawsze. – zacząłem. „Od kiedy tylko zdania złożone przestały być dla mnie czarną magią, staram się być krytyczny wobec wszystkiego i wszystkich. Nie przysporzyło mi to wielu przyjaciół, ale kocham swoją pracę. Jako jedyny wśród stada obślinionych dzieciaków, oburzonych małych, zabłąkanych w mrokach okresu dojrzewania nastolatków i desperacji młodych ludzi dopiero wchodzących na rynek pracy - odkąd pamiętam wiedziałem, co chcę robić w życiu.

Pisać recenzje. Po uzyskaniu odpowiedniego wykształcenia, zdobyciu potrzebnego doświadczenia

i wytrenowania wystarczająco ostrego pióra do tego typu publikacji, osiągnąłem swój cel.

Dzięki zduszeniu kilku świeżych „talentów” w zarodku uzyskałem status krytyka średniego formatu. Jestem z tego dumny.

Niedawno w moim ulubionym barze na przedmieściach, miało miejsce zdarzenie, które umieściło mój afekt do pracy pod ogromnym znakiem zapytania.

Położenie lokalu sprawia, że skupia się tu życie ludzi, których łączy jedynie miłość do samotności. Jednym z nich jestem ja oraz pewien tajemniczy starszy pan, którego obserwuję od dłuższego czasu. Wydaje się być stale zamyślonym, dogłębnie penetrującym swój umysł, jakby szukał odpowiedzi na bardzo ważne pytanie. Oczywiście nie jest pierwszym ani ostatnim szukającym, ale sprawiał wrażenie kompletnie tym pochłoniętego. Błądzenie w myślach z taką pasją stało się rzeczą tak rzadką wraz z narodzinami Chrystusa, albo jeszcze wcześniej, że sukcesywnie przyciągało moją uwagę za każdym razem, gdy byłem jej obserwatorem. Jednocześnie człowiek ten zdawał się być tak niewyobrażalnie smutny, otoczony widmem życiowej porażki, że zastanawiałem się, czy mam mu zazdrościć inteligencji, którą niewątpliwie posiadał, czy może współczuć mu, przeczuwając, że zdobył ją w dość dotkliwy sposób. Zami-

łowanie do obserwacji tego jegomościa sprawiło, że pewnego dnia i ja przyciągnąłem jego uwagę. Skinieniem ręki przywołał mnie do siebie i poprosił, bym usiadł obok niego. Sylwetkę miał pochyloną, włosy siwe, wzrok zmęczony. Gdyby nie głębokie bruzdy na twarzy, ciągnące się w poprzek czoła i wzdłuż policzków, byłibyśmy do siebie całkiem podobni. Dlatego, kiedy zamówił dla mnie kufel piwa, wyglądaliśmy jak dobrzy, starzy znajomi, choć nie zamieniliśmy ze sobą nawet słowa.

Nie pytając zbyt o moją osobę, przedstawił mi się jako upadły reżyser teatralny bez dalszych perspektyw, w którym wszelki zapal dawno zgasł, zresztą nie bez pomocy. Padł ofiarą sabotażu ze strony rywalizującego twórcy, który zniszczył jego prawdopodobnie największe dzieło. Słuchając tych skarg, zdziwiłem się, ponieważ jego historia była mi już wcześniej znana. W środowisku teatralnym mówiono, że był on zdezonizowanym geniuszem. Łaskawy dla wchodzących gwiazd i zielonych scenarzystów, przeistaczał ich w ludzi, których można było nawet nazwać artystami.

Ja ich potem opluwam w recenzjach, a oni wracają do punktu wyjścia lub pną się dalej, aby być ofiarami coraz podlegszych opinii.

Został zastąpiony przez równie zdolnego, lecz nie liczącego się z niczymi uczuciami reżysera. Wystawiał premiery jedna po drugiej, niszcząc zdrowie psychiczne kolegów z branży. Nikt nie chciał z nim pracować, ale surowy i obiektywny osąd publiczności zmuszał nas do tego. Krótko mówiąc, jeśli chciało się być kimś często i ciepło witanym na deskach teatrów w całym kraju, trzeba było go szanować i być przez niego – przynajmniej - tolerowanym.

Opowiedział mi też coś, co jest powodem mojego teraźniejszego zmartwienia. Otóż pojawiła się nowa twarz w szeregach aktorów. Niejaka Bładyna podbiła serca widzów od niedawna. Ze swą wyniosłością i specyficzną urodą, w sam raz nadawała się do grania dumnych, kurtuazyjnych i zimnych szlachcianek, a takich ról było niemało. Jak to zwykle bywa, byt jako aktorce zapewnił jej niedawno poślubiony mąż, jeden z młodych i szanowanych reżyserów – Kirkor. Krążyły różne pogłoski o pochodzeniu aktorki oraz o jej siostrze. Podobno Bładyna na castingach wypadła przy niej dość słabo, ale po ślubie konkurencja zniknęła gdzieś bez znaku życia. Niektórym wydało się to podejrzane, ale życzliwość i znakomita opinia Kirkora zatarła początkowy osąd.

Jednak siedzący przede mną staruszek odkrył przerażającą prawdę. To Alina miała być wielką aktorką, to Alina miała talent i to Alina skończyła w worku na śmieci, z posadką zaraz obok szefa mafii na dnie jeziora. A urządziła ją tak jej własna siostra. Świadkiem zbrodni był mężczyzna o imieniu Grabiec, niezbyt błyskotliwy narzeczonny Goplany, redaktor naczelnej lokalnej gazety, na której łaskę i niełaskę zdane było całe miasto. Niestety, był wtedy w trakcie doskonalenia swojej jedynej umiejętności, którą było picie na umór, więc nic nie pamiętał, a to, co zapamiętał uznano by za majaki wywołane chorobą. Tak więc nie było nikogo, kto odkryłby prawdę o losie Aliny, oprócz obecnego tu jegomościa, który najzwyczajniej w świecie się bał. Stwierdził, że Bładyna nie cofnie się przed niczym, byleby zachować twarz. Zabijała z zimną krwią, impulsywnie, bez zbytniego przygotowania, w miejscach niezbyt dobrych do czynów tego typu, np. w mieszkaniu ofiar, w ich własnych łóżkach lub u progu drzwi. Do tego ma podejrzenia, że zdążyła już zabić Grabca, a nawet kuriera. Chyba myślała, że

podśluchał jej rozmowę z partnerem ze sztuki i zrozumiałym było to, że zachowała środki ostrożność. Wpadła w prawdziwą paranoję i nie miała zahamowań. Tej nocy nie zmrużyłem oka. Następnego dnia chciałem wypytać go o więcej szczegółów, ale nie pojawił się.”

Sprawa ta tak mnie zszokowała, że nie mogłem zasnąć. Jak w praworządnym kraju, zamieszkanym przez ludzi inteligentnych, z zasadami i sumieniem może mieć miejsce coś tak okropnego? Jak mógłbym w takiej sytuacji nie zareagować i stać z boku? Jednak obiecałem, że nic nie zrobię, przynajmniej do pewnego momentu, dla własnego bezpieczeństwa. Tymczasem jak długo będę w stanie milczeć? W końcu mam sumienie, a jako krytyk mam też pewną wrażliwość. Dlatego to pisze. W razie czego, ktoś to znajdzie. Zapisane na komputerze, pod hasłem. Policja złamie kod, wszystko będzie dobrze. Muszę się tylko wylogować... O! Chwila, ktoś dzwoni do drzwi.

Joanna Pawlaczyk kl. IIa

TAJEMNICZA WYSPA

Gdzieś po środku Pacyfiku, w miejscu, gdzie niegdyś znajdowała się wyspa Lincoln, miały miejsce rzeczy niezwykle.

Mimo, że sama wyspa ponad wiek temu zatонуła w morskich głębinach oceanu, pozostały po niej zauważalne ślady. Nieraz można było usłyszeć opowieści kapitanów przepływających tamtędy okrętów o anomaliiach, które spotykały ich statki. Niekiedy nawet przelatujący ponad ciemnymi falami piloci uskarżali się na niepoprawnie działające sprzęty w kokpitach, co nie zdarzało się na tyle często, aby te zakłócenia uznać za normalne.

Jednym z takich pilotów był Leo – kanadyjski doręczyciel poczty w średnim wieku, latający przestarzałym modelem dwupłatowca, który mimo swoich wad bywał niezastąpiony w podniebnej podróży. Jako już starszy pilot, szybko kończył swoją pracę i po dostarczeniu wszystkich listów i pakunków mógł wracać do domu – Vancouver. Było jednak coś, co nie dawało mu spokoju – jakaś natarczywa, kłębiąca się w głowie myśl, która nie pozwalała pilotowi nacieszyć się lotem, ani widokiem zachodzącego słońca, wesoło migoczącego w smaganej wiatrem tafli wody. Od dłuższego czasu towarzyszyło mu irytujące uczucie, że o czymś zapomniał. Z rozdrażnieniem spojrzał przez swoje prawe ramię i serce załomotało mu w piersiach.

Na pokładzie samolotu leżała jedna, mała, sześcienne paczuszka, nie większa od dorodnego jabłka, owinięta w szary papier. Jeszcze nigdy w swojej pracy, którą uważał za tak ważną, nie zdarzyło mu się, aby zapomniał wylądować choćby jednej koperty. Zawsze dokładnie sprawdzał luk bagażowy i opóźniał się z odlotem, by nie dopuścić do sytuacji takiej jak ta. W jednej krótkiej chwili jego dokładność w obowiązkach przestała mieć znaczenie. Zapomniał o pakunku, a ten błąd mógł bardzo niezadowolnić odbiorcę, który z pewnością wyczekiwał paczuszki.

Jako, że był to w tym dniu jego ostatni przelot samolotem, postanowił zawrócić,

dostarczając tym samym zapomnianą paczkę. Słońce powoli zaczęło zachodzić i mimo faktu, że w nocy Pacyfik staje się jeszcze bardziej niebezpieczny niż w ciągu dnia, szczególnie dla samolotów takich jak pocztowy dwupłatowiec, Leo pozostał zdeterminowany i nieugięty w swoim postanowieniu. Wykonał zręczny manewr i już po chwili wracał z powrotem w stronę wysp, z których niedawno odleciał. Nie chcąc marnować zbyt dużo czasu obrał kurs, który wydawał się być skrótem. Podniebna droga prowadziła nad punktem zwykle omijanym przez kapitanów okrętów, a w szczególności pilotów, ale że była to trasa szybsza, Leo nawet nie wahał się co do jej wyboru.

Gdy słońce pozostało już jedynie czerwono-złotą smugą na horyzoncie, z urządzeń nawigacyjnych zaczęły dobiegać niepokojące odgłosy; wskaźniki kręciły się wokół własnej osi, wajchy drgały i terkotały, a wszystkie przyciski informujące o możliwości niebezpieczeństwa zapaliły się na czerwono i zaczęły nieprzerwanie buczeć. Leo próbował opanować sytuację, ale nie było to łatwe, bo jego fotel w kokpicie, jak i cały samolot, podskakiwały rwanymi ruchami. Jedynym wyjściem było awaryjne lądowanie i kiedy mężczyzna spojrzał na urządzenia nawigacyjne, aby ocenić w jakiej odległości znajduje się najbliższa wyspa, serce podjechało mu do gardła. Urządzenia nie działały! Jeszcze nigdy nie znalazł się w tak beznadziejnej sytuacji. Słyszał o wypadkach przytrafiających się samolotom na Pacyfiku, ale nigdy wcześniej nie były mu one tak bliskie.

Ze strachem spojrzał przez szybę dwupłatowca wypatrując choćby skrawka stałego lądu, ale robiło się coraz ciemniej i po chwili trudno było dostrzec nawet nieustające fale wody. Kiedy Leo gorączkowo poszukiwał przed sobą ziemi, jego uwagę przyciągnęły dziwne światła pochodzące z małego punkciku na oceanie. Przez chwilę oślepiony ich blaskiem nie mógł dostrzec skąd pochodzą, ale kiedy tylko delikatnie zmienił kurs, ujrzał dwa potężne reflektory światła pochodzące z jakiejś niedalekiej wysepki. Podziękował w duchu za ten dar techniki i skierował samolot w ich stronę. Gdy był już wystarczająco blisko wyspy by móc ją zobaczyć, światła zgasły. Leo niespieszony tym faktem szybko zapalił własny reflektor, nie już tak potężny jak te, które wskazały mu drogę, lecz wystarczający, by oświetlić miejsce, w którym chciał wylądować. Wyspa przypominała wielki płaski głaz, więc znalezienie lądowiska nie było problemem. Leo spodziewał się tego miejsca jako zamieszkanego przez ludzi – skądś przecież musiały pochodzić światła, ale kiedy po osadzeniu maszyny na ziemi wysiadł z samolotu i rozejrzał się na tyle dobrze, na ile pozwalał mu na to zapadający zmrok, ze zdziwieniem stwierdził, że sama wyspa nie jest duża, bo bez problemu dostrzegł jej przeciwny koniec i nie ma na niej nic innego prócz ostrych skał.

Zaintrygowany pochodzeniem światła postanowił obejść wyspę, ale nie doszedł nawet do jej brzegu, z którego chciał rozpocząć drogę, ponieważ parę metrów od samolotu potknął się i straciwszy równowagę, przewrócił.

Wytracony z równowagi wstał i spojrzał z wściekłością w stronę miejsca, gdzie jeszcze parę chwil temu leżał na ziemi. Z początku wydawało mu się, że patrzy na szczelinę skalną, o którą nieuważnie zahaczył, ale po chwili dostrzegł, że pod szczeliną jest jeszcze jedna, podobnie ociosana skała i wtedy zrozumiał, że widzi przed sobą wykute w litym kamieniu schody prowadzące w dół. Zupełnie zapomniał, że to

schody spowodowały upadek i zaniepokojony zszedł parę stopni w głąb skały. Z dołu wiał lekki wiaterek i pachniało słoną wodą, więc nic nie wskazywało na to, że na dole może być niebezpiecznie.

Wciąż myśląc o światłach, które doprowadziły go do tej wyspy postanowił zejść na dół. Schody prowadziły do podziemnego korytarza, w którym panowałyby całkowity mrok, gdyby nie małe kanaliki dostarczające do środka lekkiej poświaty i powietrza. Z czasem zapach morskiej wody nasilił się, a korytarz stawał się jaśniejszy i zaczął się poszerzać. Leo znalazł się w podziemnej, częściowo zawalonej grocie, do której dawno temu musiało wtargnąć morze i prawie w całości ją wypełnić. Na pierwszy rzut oka można było stwierdzić, że utworzone w tym miejscu podziemne jezioro jest bardzo głębokie, ale kiedy Leo podszedł do krawędzi zbiornika, spostrzegł kołyszący się na wodzie ciemny kształt i wydobywające się spod wody przerywane snopy światła, które co jakiś czas całkowicie oświeślały poziomą pieczarę. Już wiedział, w jaki sposób udało mu się trafić na wyspę, światła należały to łodzi podwodnej, którą miał przed sobą. Zauważył, że łódź jednym bokiem prawie całkowicie dotyka zachodniej ściany groty, więc bez próby przepłynięcia tak dużej odległości, mógłby dostać się do środka okrętu, idąc wzdłuż ściany. Po chwili znalazł się naprzeciw wielkiego koraba i odnajdując stopnie metalowej drabinki wspiał się na jego szczyt. Dotarł do okrągłej śluzy i kilkoma sprawnymi ruchami otworzył wejście. Po chwili znalazł się w środku, mając nadzieję na odnalezienie operatora światła i pomocy w wydostaniu się z wyspy.

Cały okręt wydawał się opuszczony; Z każdym krokiem Leona w powietrze wzbijały się tumany kurzu, nikt i nic nie wydawało najmniejszego dźwięku, a zewsząd dochodził słodko-kwaśny zapach stęchlizny. Większość pokoi była pusta, ale jeden z nich szczególnie przyciągnął pilota.

Pchnął stare, skrzypiące drzwi i jego oczom ukazała się obszerna sala podobna do muzeum. Niegdyś pokój musiał być bardzo ładny, ale lata świetności miał już dawno za sobą. Większość mebli rozpadła się, niektóre rzeźby zwietrzały i skruszały z upływem lat, a jedynie pojedyncze przedmioty pozostały niezmienione przez niszczący czas. Dopiero po chwili Leo zauważył leżący na zakurzonej podłodze, które kiedyś musiało być łóżkiem, szkielet człowieka. Odruchowo odskoczył przerażony, ale strach szybko go opuścił.

Szkielet musiał się tu znajdować od bardzo dawna i leżał tak, że można by pomyśleć iż spał. Coś co przyciągnęło uwagę Leona to stary pergamin, który dostrzegł w zaciśniętej dłoni szkieletu. Jako, że od dziecka był bardzo ciekawy tak i teraz nie mógł się oprzeć chęci poznania treści pergaminu.

Mimo, że papier był bardzo stary i kruszył się po bokach, Leo zręcznie rozwinał pergamin i uśmiechnął się od ucha do ucha. Miał w rękach mapę, dzięki której mógł dojść podziemnym systemem korytarzy na jedną z oceanicznych, zamieszkanych wysp, a z niej bez problemu wrócić do Kanady.

Spojrzał z wdzięcznością na szkielet człowieka, który tak bardzo mu pomógł i wyszeptał ciche podziękowanie.

Domyślił się, że nikt nie obsługiwał reflektorów. Same od czasu do czasu zapalały się i gasły, a on był świadkiem jak po tych wszystkich latach traciły ogromną moc. Opuścił statek z dwoma lampami naftowymi, które znalazł na pokładzie i ruszył

w drogę. Po drugiej stronie groty znajdował się korytarz, który miał zaprowadzić go do wyjścia.

Gdy opuszczał pieczarę, reflektory zamigotały słabo ostatni raz i całkowicie zgasły, pogrążając wszystko w ciemnościach. Leonowi zrobiło się nagle smutno, pomyślał o swojej drogiej żonie, która zawsze cierpliwie czekała na niego w domu i rozkrzyczanej trójce kochających dzieci, które tak często doprowadzały go do wściekłości, ale które kochał najbardziej na świecie.

Przemierzając długi korytarz uświadomił sobie, że ostatnio większość czasu spędzał w pracy, ponieważ latanie pozwalało oderwać mu się od rodziny. Jeszcze parę dni temu stwierdziłby, że bez nich też jest szczęśliwy, ale teraz zdał sobie sprawę, że to nieprawda. Wszystkie najszczęśliwsze chwile kojarzyły mu się z rodziną i mimo, że latanie było czymś cudownym samym w sobie, nie mogło zastąpić miłości bliskich. Nie lubił, gdy coś tak stałego jak rodzina, stawało się przerywanymi spotkaniami. Uświadomiły mu to gasnące światła łodzi podwodnej, które ostatnim, mocniejszym blaskiem, najprawdopodobniej uratowały mu życie.

Po dwóch godzinach nieprzerwanego marszu pod górę, pilot zobaczył w oddali jaśniejszy otwór, który musiał być wyjściem. Zmęczony z ulgą pobiegł w stronę świeżego powietrza. Gdy tylko znalazł się na powierzchni powitał gwiazdy, które świeciły dla niego tak jasno, jak nigdy wcześniej. Wyspa rzeczywiście była zamieszkała, ale postanowił nie szukać na noc gościny. Usiadł na trawie i poczuł, że coś uwiera go pod klatką piersiową.

Wymacał w ciemności kieszeń swojej kurtki i ku swojemu zdumieniu znalazł w niej sześcienną paczuszkę. Nie pamiętał, aby brał ją z pokładu dwupłatowca. Dopiero teraz zainteresował go odbiorca pakunku. Oświecił lampą naftową naklejkę z adresem i odczytał napisane pochyłym pismem swoje własne imię, nazwisko i adres. Skoro paczuszka formalnie należała do niego, jakkolwiek było to niemożliwe, chyba mógł ją rozwinąć. Szybko przedarł szary papier i wyjął drewniane pudełeczko ze złotą klamrą. W pudełeczku znajdowały się świeże, białe-różowe petunie. Leo położył się na trawie, przyciskając do piersi drewniane pudełko.

Przed snem myślał z uśmiechem o swoich dzieciach i o tym co da, prócz czasu, żonie kiedy wróci do domu. Jego myśli wypełniały też nieprzerwanie dwa słowa: „kapitan Nemo” nie wiedział, czy już kiedyś je słyszał, ale czuł do nich ogromny szacunek. Kiedy zasnął, śniły mu się petunie – ulubione kwiaty jego żony.

Joanna Walęsa, 2a

JAPANESE CORNER

BY JAGODA CZARNOWSKA

STOPNIE GRZECZNOŚCI

Czy wiesz że w języku japońskim istnieje coś takiego jak stopnie grzeczności?

Japończycy w inny sposób zwracają się do poszczególnych osób z poszczególnych środowisk. Przykładają dużą uwagę do tego by w czasie mówienia do danej osoby zwracać się do niej we właściwym stopniu, w przeciwnym razie mogłoby to oznaczać brak szacunku do kogoś...

Istnieją trzy stopnie grzeczności:

- zwyczajny, miły - jest to stopień najłagodniejszy, nieformalny, czyli taki „na luzie”, używasz go gdy zwracasz się do osób dobrze ci znanych, z którymi czujesz się „na równi”, czyli nie uznajesz za stojących wyżej od ciebie. Używasz tego stopnia grzeczności zwracając się np. do członków twojej rodziny lub bliskich przyjaciół.

- uprzejmy - jest to stopień bardziej formalny od pierwszego. Powinno używać się go, gdy zwracamy się do osób które nie są nam tak dobrze znane jak przyjaciele i rodzina, tym samym zaznacza się pewnego rodzaju dystans pomiędzy nami a rozmówcą. Tego stopnia użyć możemy gdy zwracamy się do znajomych i ko-

legów, np. takich których mijamy codziennie w szkole na korytarzu ale w gruncie rzeczy nie znamy za dobrze, czy też np. sąsiadów. Można zwrócić się też w ten sposób do nieznajomych, czyli np. ludzi których spytamy się na ulicy o drogę, czy stojących w kolejce w sklepie obok nas...

- pełen szacunku- jest to stopień formalny, używamy go gdy zwracamy się do kogoś na wyższej pozycji od nas, do kogoś, komu jesteśmy w pewien sposób podporządkowani, np. do naszego szefa, nauczyciela, naszych gości, czy klientów.

Ale na czym polegają różnice i gdzie można je dostrzec?

DZIEKOWANIE: na przykład dziękując, dziękujemy w inny sposób zależnie od osoby do której się zwracamy...

- dziękując osobie z rodziny lub kumplowi, możesz powiedzieć po prostu *arigatou* czyli „dziękuję”, albo *doumo*, które jest jeszcze bardziej „luźne” od *arigatou* i znaczy po prostu „dzięki”.

- używając stopnia bardziej formalnego, np. gdy dziękujesz komuś (obcemu lub znajomemu) za otwarcie przed tobą drzwi, mówisz *doumo arigatou* lub *arigatou gozaimasu*, oba zwroty znaczą to samo, czyli po prostu „dziękuję bardzo”.

- gdy dziękujesz osobie stojącej wyżej od ciebie, i powinieneś okazać jej szczególny szacunek należy użyć zwrotu *doumo arigatou gozaimasu*, co oczywiście również oznacza podziękowania, ale jest to większe i bardziej nacechowane emocjonalnie podziękowanie niż wówczas gdy zwracasz się do kogoś nieznanego lub kolegi,

możnaby to było określić jako „bardzo, bardzo dziękuję” albo „naprawdę bardzo dziękuję”...

**doumo*- czyt. domo

**arigatou*-czyt.arigato

**gozaimasu*- czyt.gozajmas

Zabawne jest to, że właściwie na tym przykładzie można zauważyć że tak na chłopski rozum- im dłuższe jest sformułowanie, tym więcej szacunku dla drugiej osoby się w nim mieści.

TWIERDZENIE: gdy odpowiadamy również ważny jest stopień grzeczności. Wypowiadamy się też w inny sposób zależnie od tego, komu odpowiadamy. Np. jeżeli pewna osoba zapyta nas „czy smakuje ci ten makaron?”, i chcemy odpowiedzieć twierdząco, mówimy:

un - gdy odpowiadamy komuś kogo dobrze znamy, czyli rodzinie czy kumplowi. *Un* jest czymś w rodzaju odpowiednika naszego mruknienia: „Yhmm...” , gdy się z czymś zgadzamy.

hai- gdy odpowiadasz komuś w stopniu uprzejmym, bardziej formalnym od zwykłego, znaczy to po prostu tyle co nasze „tak”

ee- Gdy odpowiadamy na pytanie osobom szanowanym, wyżej od nas, również oznacza

Warszawy 5), Centrum Sztuki WRO (ul. Wiodok 7), Domu Handlowym Renoma (ul. Świdnicka 40), czy Atelier WRO (ul. Kuźnicza 29a). Zachęcam Was wszystkich do zapoznania się z ofertą tej edycji Biennale. Czas macie do 30 czerwca. Szczegóły znajdziecie na stronie: <http://wro2015.wrocenter.pl>

Tomasz Dobiszewski

Z tego względu, że zbliżają się wakacje i po trudach roku szkolnego będziemy mieli trochę czasu wolnego, polecam powieść w trzech tomach:) Autorka to Singrid Undset - noblistka, a tytuł powieści to „Krystyna córka Lawransa”. Opowieść zaczyna się w 1306 roku, a kończy w 1349 i zawiera historię życia tułowej Krystyny. Jej ojciec był szanowanym i bogatym norweskim szlachcicem, osiadłym na dworze Jorund w północnej Norwegii. Trzy tomy powieści to trzy etapy życia Krystyny - „Wianek”, „Małżeństwo”, „Krzyż”. Zwykle życie, lecz tak wspaniale zajmujące - piękne, radosne dzieciństwo, miłość, narodziny dzieci,...w tej książce jest wszystko, trochę historii, obyczajowość, wątek miłosny a wszystko napisane pięknym językiem, naprawdę polecam:)

Joanna Syposz

Polecam stronę Festiwalu Wysokich Temperatur, imprezy artystycznej, która odbywa się we wrocławskiej ASP od dziewięciu lat. Ideą festiwalu jest prezentacja procesu tworzenia dzieła sztuki z użyciem ognia i wysokiej temperatury w obszarze ceramiki, szkła i rzeźby z metalu lanego. Na Festiwal co roku zapraszane są światowe sławy pracy z ogniem, które prowadzą warsztaty, pokazy i wykłady. Na stronie można poczytać o nich więcej, obejrzeć filmy i działa sztuki.

www.festiwalwysokichtemperatur.pl

FB/ FestiwalWysokichTemperatur

Matylda Goś-Staszczak

WARTO

16 Biennale Sztuki Mediów WRO 2015

Mimo, iż tydzień otwarcia 16 Biennale Sztuki Mediów WRO 2015 przypadł na czas, w którym gro z Was było jeszcze na plenerach malarstkich, to większość ekspozycji jest jeszcze do obejrzenia. Oprócz głównego miejsca, jakim w tym roku jest budynek Biblioteki Uniwersyteckiej – nowy gmach (ul. Fryderyka Joliot-Curie 12), wystawy można zobaczyć w Muzeum Narodowym we Wrocławiu (Plac Powstańców



radosna tętność z waszych zeszytów



Wyjaśnij znaczenie skrótów: AWF - „Akademia Wyższych Finansów” rys. Magdalena Miskiewicz



Wyjaśnij znaczenie skrótów: FSO - „Francuskie Stowarzyszenie Osilków”
rys. Aleksandra Nowak.



„Jurand zrobił burdel u Krzyżaków, poczym odesłano go w stanie inwalidzkim”



Wyjaśnij znaczenie skrótowców: FSO - „Fundacja Samopomocy Obcym



„Mały Książę wypłeniał planetę”, rys. *Agnieszka Łazorko*

MASTERCHEF

MALINOWE NIESPODZIANKI PANI PROF. KATARZYNY ROGULI

Ciasto:

200ml (2 dl) mleka
25g drożdży
75g masła lub margaryny
3 łyżeczki cukru
1 jajko
420-480g (7-8dl) mąki pszennej

Do posmarowania:

ok. 25g masła lub margaryny

Dekoracja:

cukier

Potrzebne także:

foremki o średnicy ok. 9 centymetrów

Nadzienie:

100ml dżemu malinowego

1. Podgrzać mleko do temp. 37°C i dokładnie rozpuścić w nim drożdże. Odstawić, żeby zaczyn wyrósł.
2. Utrzeć tłuszcz z cukrem. Dodać jajko, zaczyn i większość mąki.
3. Ręcznie lub mikserem wyrabiać ciasto dopóki nie zacznie odchodzić od miski.
4. Przykryć i odstawić ciasto do wyrośnięcia na 20 min. w temperaturze pokojowej.
5. Wyłożyć ciasto na oprószoną mąką stolnicę i zagnieść z resztą mąki.
6. Rozwałkować ciasto na kwadrat o grubości ok. ½ cm. Okrągłą foremką wykroić 20 placuszków.
7. Na każdym placuszku ułożyć nieco nadzienia. Zakleić placuszki.
8. Ściśniętą stroną do dołu ułożyć drożdżówki w foremkach i ustawić na blasze.
9. Przykryć i odstawić do wyrośnięcia na 20-25 min. Nastawić piekarnik na 250°C.
10. Piec przez ok. 5-7 min.
11. Posmarować stopionym tłuszczem i obtoczyć w cukrze.

Smacznego!



Redakcja „Notatek z Zielonej Klatki”

Uczniowie:

Anna Adasiak

Katarzyna Świnder

Dominika Drąg

Aleksandra Kaczmarek

Nikol Górecka

Nauczyciele:

Matylda Goś-Staszczak

Katarzyna Iwaniak-Warchoł

Natalia Okoń-Rudnicka

Serdecznie dziękujemy wszystkim rysownikom i fotografom,
którzy udostępnili swoje prace.

Kontakt: zsp.wroclaw@gmail.com

